**Sąsiadem Szkłowskiego** był mężczyzna w zielonej wiatrówce, którego zastałem czytającego książkę. Pułkownik Paweł Iwanowicz (nie pamiętam, niestety, jego nazwiska) był jedynym obok Szkłowskiego oficerem w celi o tak niskim stopniu. Dowiedziawszy się, że jestem Polakiem i że byłem we wrześniu 1939 roku w Polsce, ożywił się i zasypał mnie gradem pytań. Okazało się, że zanim go aresztowano, pracował w wywiadzie na pograniczu polsko-sowieckim; ***znał świetnie wszystkie, najbardziej nawet zapadłe dziury prowincjonalne*** na Kresach, a czteroletni pobyt w więzieniu nie poczynił najmniejszych wyrw we wspaniałym dossier wywiadowczym, jakie nosił w mózgu. **Pamiętał** rozmieszczenie garnizonów, dywizji, pułków i oddziałów KOP-u, nazwiska i najbłahsze słabostki ludzkie ich dowódców: ten potrzebował ciągle pieniędzy na karty, ten przepadał za końmi, ten mieszkał w Lidzie, ale miał kochankę w **Baranowiczach**, a tamten był wzorowym oficerem. Rozpytywał mnie z podnieceniem o ich udział w kampanii wrześniowej, jak ~~zgrany właściciel stajni pyta~~ o lokaty swoich dawnych koni na zagranicznych torach wyścigowych. Niewiele umiałem i chciałem mu powiedzieć. Szumiało mi jeszcze wówczas w głowie od wrześniowego ciosu.

Pogaduszki wywiadowcze z Pawłem Iwanowiczem miały ten pożytek, że zaprzyjaźniliśmy się szybko i pewnego dnia rozmowa ześlizgnęła się mimochodem na temat mieszkańców celi. Pamiętam ten wieczór, jakby to było wczoraj. Leżeliśmy na jego pryczy, a właściwie on leżał, a ja siedziałem oparty na łokciu; obok nas drzemał młody student medycyny z Leningradu o dziewczęcej twarzy, który zapytał mnie raz szeptem w ustępie, czy czytałem Powrót z ZSRR Gide'a, bo sądząc z artykułów prasy sowieckiej, jest to bardzo interesująca książka. W celi zapalono już światła, przy stole siedzieli marynarze i grali w karty, a na pryczach rzędem – jak na dwóch zbiorowych katafalkach – leżeli generałowie sowieccy, zastygłszy w geście nieruchomej zadumy. Paweł Iwanowicz pokazywał mi wzrokiem każdego po kolei, poruszając tylko muskularni twarzy i rzucając – niczym przewodnik w sali sarkofagów egipskich – krótkie objaśnienia.

Przy grubym Żydzie, który zwiesiwszy jak zwykle nogi z pryczy, nucił cicho, powiedział:,,Komisarz polityczny dywizji w Hiszpanii. Miał bardzo ciężkie śledztwo”. Brodacza, pykającego bezustannie fajkę, określił jako inżyniera lotnika i generała awiacji, który właśnie niedawno ogłosił głodówkę, żądając rewizji procesu „w imię potrzeb sowieckiego przemysłu lotniczego”. Wszyscy zostali oskarżeni w roku 1937 o szpiegostwo. Zdaniem Pawła Iwanowicza cała sprawa była prowokacją niemiecką na olbrzymią skalę. Wywiad niemiecki podsunął wywiadowi sowieckiemu przez neutralnego pośrednika sfałszowane dowody, obciążające poważnie dużą część sztabowców sowieckich, którzy w różnych okresach swej służby przebywali jakiś czas za granicą. Niemcom chodziło o sparaliżowanie dowództwa sowieckiego, a wywiad rosyjski żył w stanie egzaltowanej podejrzliwości po spisku Tuchaczewskiego. Gdyby wojna z Niemcami wybuchła w roku 1938, Armia Czerwona miałaby poważnie nadwątlone rezerwy sztabowe. Wybuch drugiej wojny światowej uchronił ich od wyroków śmierci i zatrzymał gwałtownie szprychy śledczego koła tortur. Od wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej oczekiwali zwolnienia, pełnej rehabilitacji, przywrócenia stopni i stanowisk dowódczych, wypłaty uposażeń za cztery lata spędzone w więzieniu. Wyroki dziesięcioletnie, jakie odczytano im przed miesiącem po trzech i pół latach nieprzerwanych badań, uważali za zwykłą formalność, która ma uratować twarz NKWD.

Wśród mieszkańców celi 37. wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej uchodził bowiem w listopadzie 1940 roku za rzecz nie podlegającą wątpieniu; wierzyli w jej zwycięski koniec i w to, że ani dnia nie będzie się toczyła na terytorium sowieckim. Po apelu wieczornym, kiedy do celi przyjeżdżał sklepik z papierosami, parówkami i gazetami, Paweł Iwanowicz, jako najmłodszy stopniem i wiekiem, wdrapywał się na stół i czytał na głos z,,Prawdy” i „Izwiestij” jednakowe „soobszczenija z zapadnogo fronta”. Była to jedyna w ciągu dnia chwila, kiedy generałowie ożywiali się, dyskutując z przejęciem o szansach obu stron. Uderzyło mnie, że w ich wypowiedziach nie było ani cienia skargi, buntu lub mściwości, gdy rozmowa zahaczała o potencjał wojenny Rosji; jedynie smutek ludzi, których oderwano od warsztatu pracy. Zapytałem o to kiedyś Pawła Iwanowicza. „W normalnym państwie – odpowiedział – istnieją ludzie zadowoleni, średnio zadowoleni i niezadowoleni. W państwie, w którym wszyscy są zadowoleni, zachodzi podejrzenie, że wszyscy są niezadowoleni. Tak czy owak, tworzymy zwartą całość”. Nauczyłem się tych słów na pamięć.

Generał Artamjan, brodaty Ormianin z awiacji, wstawał wieczorami na parę minut i masywne jego cielsko odbywało pomiędzy pryczami coś w rodzaju spaceru „dla rozprostowania kości”. Po każdym spacerze kładł się znowu na dawnym miejscu i sapiąc ciężko, wykonywał parę wdechów i wydechów. Robił to wszystko ze śmiertelną powagą i zadziwiającą punktualnością. Jego wieczorna gimnastyka była dla nas sygnałem do kolacji.

Gdy przyszedłem do celi 37., trafiłem na trzeci dzień jego głodówki; po dziecięciu dniach mojego pobytu w Pieriesyłce głodówka jeszcze trwała. Artamjan przybladł, coraz krócej spacerował, chwytała go często zadyszka i zanosił się od kaszlu po każdym pierwszym pociągnięciu fajki. Żądał zwolnienia i rehabilitacji, powołując się na swoje zasługi i rewolucyjną przeszłość. Proponowano mu pracę pod konwojem w leningradzkiej fabryce samolotów i osobną celę w „Pałacu Zimowym”. Co trzy dni przed południem dozorca przynosił mu do celi wspaniałą paczkę „od żony”, o której nic nie wiedział i która według wszelkiego prawdopodobieństwa żyła również od trzech i pół lat na zesłaniu. Artamjan podnosił się z pryczy, proponował wszystkim w celi poczęstunek, a gdy odpowiadało mu głuche milczenie, wzywał z korytarza dozorcę i w jego obecności wrzucał całą zawartość paczki do kibla.

Mimo że wyznaczono mi miejsce do spania na ziemi koło kibla, a więc tuż obok jego pryczy, nie odezwał się do mnie ani razu. Ostatniej jednak nocy, gdy nienaturalnie ożywiony ruch na korytarzu zdawał się zwiastować etap, nie spaliśmy obaj. Leżałem na wznak, z rękami splecionymi pod głową, i nasłuchiwałem, jak za przegrodą drzwi rośnie szum kroków niby łoskot wzbierającej rzeki za tamą. Kłęby dymu z fajki Artamjana przesłaniały mdłe światło żarówki, pogrążając celę w dusznym półmroku. Nagle jego ręka obsunęła się z pryczy i zaczęła szukać mojej. Gdy mu ją podałem, uniósłszy się lekko na posłaniu, wsunął ją bez słowa pod swój koc i przytknął do klatki piersiowej. Poprzez parcianą koszulę zmacałem zgrubienie i wklęśnięcie na żebrach. Powiódł ją jeszcze w dół, poniżej kolana – to samo. Chciałem doń przemówić, zapytać go o coś, ale kamienna twarz obrośnięta mchem brody nie wyrażała nic poza zmęczeniem i zamyśleniem.

Po północy ruch na korytarzu wzmógł się jeszcze bardziej, słychać było otwieranie i zamykanie cel, i monotonne głosy wyczytujące nazwiska. Po każdym „jest” rzeka ludzkich ciał wzbierała, uderzając zduszonymi szeptami o ściany. Otworzyły się wreszcie i drzwi naszej celi – Szkłowski i ja na etap. Gdy klęcząc zwijałem szybko swoje łachy, Artamjan chwycił mnie jeszcze raz za rękę i ścisnął ją mocno. Nie powiedział ani słowa i nie spojrzał w moim kierunku. Wyszliśmy na korytarz, prosto w tłum spoconych i parujących jeszcze od snu ciał, które przykucnęły bojaźliwie pod ścianami jak strzępy ludzkiej nędzy w ścieku kanałowym.

Ze Szkłowskim znalazłem się w jednym przedziale wagonu „stołypinowskiego”. Rozesłał sobie na ławeczce płaszcz i usadowiwszy się w kącie przedziału, siedział już tak przez cały czas – wyprostowany, milczący i surowy, w mundurze zapiętym pod szyją, z rękami splecionymi na kolanach. Oprócz nas na górnych składanych ławkach rozsiadło się trzech „urków”, zabierając się do gry w karty. Jeden z nich, goryl o płaskiej mongolskiej twarzy, opowiedział nam, zanim jeszcze pociąg ruszył ze stacji, że doczekał się nareszcie w Leningradzie piętnastoletniego wyroku za zarąbanie siekierą w obozie peczorskim kucharza, który mu odmówił dodatkowej porcji kaszy. Mówił to spokojnie, z pewnym akcentem dumy w głosie, nie przerywając ani na chwilę gry. Szkłowski siedział nieporuszony z przymkniętymi lekko oczami, a ja zaśmiałem się nie bez przymusu.

